



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## Matka znakomitego człowieka

(TERESA RIEGROWA).

Większość mężów odrodzenia narodu czeskiego i jego literatury wyszła z pod słomianych strzech była dziećmi ludu wiejskiego. W smutnej dobie upadku poczucia narodowego i zaniebdania mowy ojczystej klasy wyższe, arystokracja i mieszczaństwo, lgnęły do obczyzny, tylko lud zachowywał miłość dziedzictwa po pradziadach i dzieci jego, które garnęły się do światła i wiedzy, nie dawały się tak łatwo pociągać modnym prądom. Owszem stawiały opór zacięty i z czasem przechyliły szalę zwycięstwa na stronę sprawy narodowej. Dzisiejszy stan narodu Czeskiego, budzący tak słusznie podziw, a po części nawet zazdrość w obcych, żywo przebudzona świadomość narodowa, która zdolała przeniknąć do najniższych warstw, wytrwała praca i zdumiewająca ofiarność dla celów narodowych jest niezaprzeczenie dziełem synów sielskich, wyszłych z ubogich i niskich chałupek. Niedarmo też nowoczesna poezja czeska z taką czcią prawi o „naszych chałupkach.“

Komuż nieznanem jest słynne, a czcigodne imię Franciszka Władysława Riegra? Wraz z teściem swoim, niezapomnianym dziejopisarzem Franciszkiem Palackim, był przez lat kilkadziesiąt prawdziwym przywódcą narodu, został nim na lat szereg po śmierci Palackiego, a dopiero po porażce stronnictwa staroczeskiego przed kilku laty usunął się z widowni politycznej, na której z taką chwałą i zasługą dla siebie i pożytkiem dla swoich długi czas pracował. Ale pokonany w polityce, dotknięty niewdzięczno-

ścią ludzką, która posunęła się nawet do gorszącej demonstracji ulicznej, mąż ten wielki i zacny nie przestał działalności dla dobra współziomków, choć go pewna ich część w zaślepieniu stronniczym tak źle oceniła. Nie bawiąc się w demonstracye zniechęcenia, złośliwą krytykę swych przeciwników, nie składał urzędów honorowych, jak to uczyniła już niejedna wielkość, okolicznościami ze stanowiska strącona. Pozostał jak zawsze czynnym członkiem akademii, muzeum i stowarzyszenia teatru narodowego i choć usunął się w zacisze wiejskie, jednak nie omieszkał nigdy stawić się, ilekroć instytucye te i inne do działania i rady go wzywały. Co więcej niezbyt dawno wystąpił na zjeździe w Kolonie z mową programową, tak pełną wzniosłych idei i poglądów na potrzeby i interesy narodu, tak wskazującą mu przyszłe jego kierunki, iż zaiste żaden z dzisiejszych działaczy, stojących u steru spraw publicznych, ludzi, mianujących się młodymi i młodszymi nie zdobyłby się na taką bystrość i podniosłość. A jednak Rieger liczy już lat siedemdziesiąt osiem!

Miałem szczęśliwą sposobność widzenia znakomitego męża w lipcu r. z. Nie mógłbym należycie wypowiedzieć mego zdumienia na widok jego czerstwej, zdrowej duchowo i fizycznie starości. Rozmowa z Riegiem pozostanie mi do końca życia w pamięci; zdaje się, że jeszcze słyszę jego głos czysty, energiczny, który niegdyś grzmiał w sali sejmowej i w radzie państwa niby potężny ryk lwa w pustyni.

Z tą energią i wyrazistością słowa łączyła się czarująca słodycz obejścia, której urok na zawsze pamiętnym mi zostanie.

I odchodząc od męża, co powagą przypomina senatorów rzeczypospolitej rzymskiej, wspomniałem sobie mimowoli, że był on synem młynarza wiejskiego, przez urodzenie skazanym na ciasny krąg pożytecznej wprawdzie i szacownej, ale niezbyt doniosłej działalności i mimowoli zastanowi-

łem się nad rodzicami, którzy dzielnemu synowi dali możność wejść na drogę, po której zaszedł tak daleko. Zdjęła mię ciekawość rozpytać się o stosunki rodzinne Riegra, ale na zaspokojenie jej brakło sposobności. Tymczasem najniespodzianie w gazecie *Hlas národa* ukazał się artykuł o Teresie Riegrówce, matce Franciszka Władysława, rzucający takie światło na dzieciństwo i wychowanie wodza narodu, a zarazem charakteryzujący ową epokę, rodzenia się nowej doby w Czechach, iż nie wahamy się podać go w streszczeniu czytelnikom. Wspomnienia te wyszły z pod pióra już dziś nieżyjącej Maryi z Riegrów Czerwinkowej, córki Franciszka. Była to dzielna niewiasta w budzeniu i szerzeniu świadomości narodowej, we wszelkich przedsięwzięciach i pracach patriotycznych i filantropijnych brała gorący i niezmordowany udział, a nadto pracowała piórem. Biografia znakomitego ojca pozostanie po niej trwałym pomnikiem w literaturze czeskiej.

Panią Czerwinkową widziałem tylko raz w życiu, przed trzydziestu nie pełną laty (1868 r.) na popisie w wyższej szkole żeńskiej, której dyrektorem był naówczas szczerzy nasz przyjaciel Emanuel Tonner, obecnie dyrektor akademii handlowej czeskiej.

Owoczesnej panie Maryi przypadło wdzięczne zadanie deklamowania po czesku, a deklamowała *Prolog* do poematu *Córa Slawy* (Slawii) Kolara. Prolog ten, napisany heksametrami i pentametrami na sposób starożytny, przedstawia niemałe trudności, którym zaiste tylko zdolna deklamatorka podołać by mogła, ale młoda panna znakomicie wywiązała się z zadania i zrobiła na wszystkich wielkie wrażenie. Jak dziś ją widzę przed oczyma duszy—dziewczę zdrowe, rosłe, kwitnące rumieńcem, z bujnym włosiem i wielkimi marzycielskimi oczyma—istny typ entuzjastki w myślach i czuciach, a bohaterki w czynie. Najwięcej obcy stosunkom cze-

skim poznałby od razu, że panią ta z dzielnego, nader zdolnego rodu pochodzi. Ten charakter, imponujący siłą i energią ducha, odnajduję i w biografii jej babki, którą skreśliła niby wdzięczną sielankę, a nadała jej wyrazistość wymownego epizodu z dziejów odrodzenia narodowego.

Zastanawiającym jest to objawem jest to, że pomiędzy pracownikami narodowymi czeskimi wynurza się ogromna ilość ludzi z nazwiskami obcymi, przeważnie germańskimi. Choćbyśmy nawet przypuścili, iż niejedno z nich uległo zniemczeniu, przekreśleniu z czysto słowiańskich dźwięków w dobie, gdy germanizacja szła z góry, jednakże nie da się zaprzeczyć, iż wielu Czechów są to potomkowie przybyszów, a często-kroć służyli i narzędzi systemu tryumfującego nad pokonaną w wielkich klęskach czeszczyzną. Spełniła się tu Nemezys dziejowa, potomkowie wojowników obczyzny w dalszych pokoleniach przeszli na stronę przeciwną, dając świadectwo o potężnej sile asymilacyjnej jednego z najmłodszych żywiołów kulturalnych w Europie, słowiańszczyzny. Asymilicyja ta odbywała się nawet w epoce najgłębszego upadku, gdy Czechom słusznie robiono zrzut, że niczego się tak łatwo nie wyzbywają jak charakteru narodowego. Jeżeli pomiędzy zaciętymi Niemcami znajdujemy takie nazwiska czysto słowiańskie, jak Schmeykal, Krzepak, to nieporównanie więcej nazwisk z brzmieniem germańskimi uderza nas w szeregach najgorętszych patriotów czeskich. I było to nawet w dobie, gdy sam pozór czeskości stanowił zły prejudykat w przyszłym zawodzie życia.

Oboje rodzice Riegra mieli nazwiska niemieckie i co więcej, pochodzili z okolic, gdzie żywioł czeski styka się z niemieckim, gdyż ten ostatni zalał górzyste strony Czech północnych. Są to okolice pod górami Olbrzymiami, które Czesi Kerkonoszami nazywają. Tam we wsi Stawie, należącej do okręgu Nowopackiego, mieszkał w skromnym młynie nad małym potokiem młynarz Wagenknecht. Aczkolwiek nosił tak wybitnie germańskie nazwisko, był on dobrym Czechem, a synowiec jego, zmarły, niestety, przedwcześnie jako wikary w Pradze, należał do tego rodzaju księży, którzy gorliwie pracowali nad rozbudzeniem świadomości narodowej. Młynarz Wagenknecht pojął za małżonkę Barbarę ze Sternadów, która miała dwóch braci księżmi, a którą zaszczycał swą przyjaźnią Józef Koubl, zasłużony pisarz czeski i profesor agronomii w Litomierzycach.

Młyn Wagenknechtów był niewielki, wody nieraz w potoku brakowało, a państwu młynarzem Pan Bóg dał aż sześcioro dzieci, trzech synów i trzy córki. Z tych ostatnich najstarszą była Teresa, która urodziła się 19 lutego 1796. — Było to, jak powiada pani Czerwinkowa, „dziewczętko urodziwe i zdrowe, z jasnym spojrzeniem, zawsze wesołe, zawsze uprzejme, zawsze miłe w mowie i w obęjsiu i stało się ulubieńcem nie tylko rodziców, ale i wszystkich krewnych, nawet całej okolicy.“

Rezolutność i wymowa dziewczęcia ujawniały się już w szkole, a jej rozsądek i energia, dochodzące do niezwykłej w małym dziewczęciu samodzielności, sprawiały, iż nieraz w kłopotach swych rodzice radzili się córki. A młynarz Wagenknecht kłopotów miał nie mało. Razu pewnego młyn spalił się i trzeba było postawić nowy. Tylko niesłychana oszczędność dozwoliła młynarzowi wybrnąć z toni. Wszelako bieda w domu była taka, że prócz ojca rodzina cała posiadała jedno tylko buty, które dzieci i matka kolejno kładli na nogi, kiedy w czasie sloty zimowej trzeba było wyjść z domu.

U pana młynarza i innych trosk nie brakowało. Mając młyn na gruncie, należącym do majątku Iczyńsko-Kumburskiego, płacił czynsz, za co dziedzic powinien był utrzymywać spław młyna w porządku. Administracyja majątku książęcego czynsz wybierała regularnie, ale o niczem więcej nie chciała słyszeć, zwłaszcza gdy na wiosnę wezbrana woda szkód narobiła. Widząc smutek rodziców, czternasto-letnia Tere-

ska postanowiła sama iść do Iczyna do księcia i sprawę mu całą przełożyć.

Interwencyja rezolutnego dziewczęcia i to w czasach, gdy wszyscy drżeli przed jasnymi panami, wyjednała dla rodziców przychylny obrót sprawy.

Tak w ubogim młynie rosło dziewczętko, miłe i pożyteczne, aż wyrosło na pannę, za którą chłopcy oglądać się poczynali.

W owych czasach młynarze stanowili cech, poczytujący się za rodzaj arystokracji wiejskiej, a cenili się sami tak bardzo, iż najczęściej zawierali związki w swoim własnym stanie. Nie tak poniżej jak lud pańszczyzniany, nieraz dochodzili do niemałej zamożności, co im pewną niezależność zapewniało. Jak powiada pani Czerwinkowa, „zdarzało się często, że podupadłe i z powodu wiary prześladowane rody niższej szlachty szukały w tym stanie schronienia.“ W dobie upadku i zniemczenia w młynach czeskich trwało poczucie narodowe, „w młynach pamiętano jeszcze dawne czasy i chowano stare książki.“ Podobnie działo się pomiędzy piwowarami.

W tamecznej okolicy wśród młynarzy odznaczała się rodzina Riegrów, którzy posiadali wielkie młyny w Semilach, w Turnowie i Hostinem. Młynarz w Semilach ożenił się z córką rządcy z tegoż miejsca i miał syna Waclawa, który, według słów jego wnuczki „był dzielnym młodzieńcem, z twarzą szlachetną, wyrazistą, brunetem, z żywym czarnym okiem, poważnym i statecznym.“ Swatano mu także córkę rządcy, ale młody Waclaw swatom ucha nie dawał. Obraziło to pana rządcę, przez zemstę więc chciał młodzieńca oddać pod karabin, ale ojciec co żywo w Pradze syna od służby wojskowej wykupił. Waclaw Rieger nie śpieszył się z ożenieniem i pomyślał o tem dopiero po śmierci ojca, gdyż już sam liczył lat czterdzieści.

W tamtych stronach w Boskowie znajduje się kościół z obrazem Matki Boskiej, który z dalekich stron ściągają do siebie pielgrzymów i pobożnych. Tam pewnego razu Waclaw Rieger zobaczył Tereskę, ubraną skromnie, ale „ładniutką i miłutką jak obrazek.“ Zrobił z nią znajomość po kościele, a potem sam do Stawu przyjechał na oględziny. Nie zastał dziewczęcia w domu, bo Tereska posła krowy, poszedł więc do niej na łąkę i znalazł ją bosą, w prostej sukience. Rozumie się, wstydu było, co niemiara, choć ją pan młynarz uspakajał. Po oględzinach jednak nie dawał znaku życia. Ponieważ drzwi się za zalotnikami nie zamykały, matka wybrała córcę męża w osobie zamożnego karczmarza Zelenki i rzeczy zaszły tak daleko, iż oboje spadli z kazalnicy.

Więść o zapowiedziach panny zelektryzowała młynarza Riegra, który co żywo przyjechał do Stawu. Zabrał się do rodziców i córki tak energicznie, iż zmienili plan cały, Zelenca zaś powrócił koszta konkurów i zapowiedzi. Aby zapobiedz czemuś podobnemu, wyjednał sobie, że wszystkie trzy zapowiedzi naraz się odbyły.

Jak obrazek sielankowy wygląda opis pani Czerwinkowej, tyczący się pożegnania panny z odpalonym narzeczoną: „Gdy potem Teresia szła przez pole z koszem na plecach i nagle Zelenkę przed sobą zobaczyła, serce w niej zabiło z przestachu. Nie było można wyminąć się, więc musieli się spotkać. Wdali się w rozmowę, ona mu wszystko rozumnie wyłożyła, że inaczey postąpić nie mogła, on uznał całkiem jej dowody i rozeszli się w dobrej przyjaźni. Sam Zelenka z inną się ożenił i niemal jednocześnie z Teresią wyprawił wesele. Przed weselem przyszedł jeszcze do Teresi i prosił, aby mu na ten krok pobłogosławiła. Mówił, że wie wprawdzie, iż, kiedy mu to, co sobie życzył, nie udało się, już szczęśliwym nie będzie, jednakże prosi ją, aby mu pobłogosławiła. I ukląkł przed nią, a ona czoło mu przeżegnała krzyżykiem, serdecznie życząc szczęścia.“

19 lutego 1816 odbyło się wesele Waclawa Riegra z Teresą Wagenknechtówną. Nie było to z pewnością wyjście za mąż z miłości, grało w niem główną rolę życzenie rodziców, którym zamożny zięć imponował, jednakże romantyka

erotyczna nie powstała nawet w głowie prostodusznej i praktycznie wychowanej dziewczęcej wiejskiej i Teresa Riegra była całe życie dobrą i przywiązaną małżonką należycie starszego od siebie męża. Weszła do domu, gdzie oprócz Waclawa Riegra mieszkał i rządził starszy brat Franciszek. Oddawna tutaj panowała surowa powaga i staroczeskie obyczaje. Czytywano stare księgi treści duchownej i pouczającej, a wieczorem cała czeladź wraz z gospodarzami zbierała się w tak zwanej „szalandzie“, wielkiej izbie, gdzie śpiewano stare pieśni i psalmy, a przed udaniem się na spoczynek odczytywano ustęp z Biblii i prowadzono poważną rozmowę. Ród Riegrów był już od kilku pokoleń katolickim, ale śpiewanie psalmów i odczytywanie Biblii pozostało jako tradycya po przodkach, którzy byli protestantami, zapewne należeli do wyznania Braci Czeskich. Przytem inna jeszcze tradycya panowała w rodzinie, oparta na dumnym podaniu, że Riegrowie z pochodzenia byli szlachtą i kiedyś piastowali urzędy u hrabiów Waldsztejnów, z których to wyszedł był ów pamiętny z wojny Trzydziestoletniej wódz Albrecht z Waldsztynu, przez Szyllera przezwany Wallensztajnem. Gdy który z Riegrów usłyszał o jakimś brzydkiem, nie moralnem wykroczeniu, powtarzał z dumną powagą „Tego w rodzinie naszej nigdy nie bywało.“ Zresztą i ten obyczaj tam panował, że o sprawach domowych i rodzinnych obcym ludziom nie nie rozpowiadano, aby ludzkie języki nie miały materiału do plotek i roztrząsań.

Sądząc z tego, należy wnioskować, że dom Riegrów wyglądał poniekąd tak, jak to opisała Karolina Świetła w swych nie porównanych obrazkach „Z rodzinnej kroniki.“

W dodatku obaj bracia byli to ludzie zabiegli, umieli gospodarzyć i grosz do grosza składać. Waclaw nie tylko znakomicie prowadził młyn, ale jeszcze prowadził znaczny handel deskami i drzewem, wykarmiał także odpadkami z młyna trzodę wieprzów, co mu nie mały dochód rocznie dawało.

Z obawą wchodziła młodzianka gospodyni do zamożnego domu, lękając się przedewszystkiem szwagra Franciszka, który jako stary kawaler miewał swoje przyzwyczajenia, obawiała się także, aby nie dać powodu do niechęci lub niezgody bratniej. Wkrótce okazało się, iż obawy jej były najzupełniej płonne. Pani Teresa prędko zapoznała się z całym gospodarstwem i rządem domowym, potrafiła dogodzić panu bratu, bardzo dbałemu o najmniejszą drobnostkę tak, iż ten nieraz w przystępie dobrego humoru otwierał starą skrzynię, wyjmował z niej reńskie i mówił: „Masz, Tereniu, schowaj to sobie dla krewniaka Przypadku.“ Wzbraniała się brat od niego pieniądze, ale dobry brat nie ustępował, wziąć musiała w końcu. I przydały się jej bardzo te pieniądze, gdy potem syn poszedł na naukę.

W młynie Semilskim przybycie gospodyni niesłychanie cały dom ożywiło; wieczornym pieśniom i psalmom przybyła dobra śpiewaczka Szeroko i daleko słynęła jej dobroczynność tak iż sam mąż musiał hojność jej ukroć i trzymać na wodzy. W miasteczku wszyscy polubili panią młynarkę, a goście teraz częściej do młyna na wyborną kawę ze śmietanką przychodzili. A bywali tam ludzie nie byle jacy, sami dostojnicy mało miasteczku, proboszcz i wikaryuszowie, lekarze, oficyjaliści z pałacu i nauczyciele. Przychodzili także i inni księża z okolicy, wszystko patryoci czescy i nosiciele idei narodowej.

(Dokończenie nastąpi.)

# POGAWĘDKA.

Cicho i spokojnie, w gronie rodzinnem, to w towarzystwie przyjaciół minęły nam święta; niejedno kółko powiększone zostało przybyciem rodziny ze wsi, za niejednymi drzwiami odezwała się muzyka, przy fortepianie wprawdzie, zakołysał się walc rozkoszny, dziarski mazur dał znać o sobie i niejedno serce uderzyło wspomnieniem chwil lepszych, boć stara to prawda, że zawsze to, co minęło jest lepsze, że *wspomnienie* jest nieporównanym malarzem, artystą, ba! mistrzem nawet, żywe, pełne barwy kładącym na szary rysunek obrazów, tonących w mgłę przeszłości. Młodzieniec z przyjemnością mówi o latach niedawnego dzieciństwa, człowiek w pełnym rozwoju sił męzkich z westchnieniem wspomina o czasach uniwersyteckich lub szkolnych, mąż dojrzały ze smutkiem patrzy na oddalające się piękne widmo młodości, starzec porównując czasy swoje z minionymi czasami, „nie tak *in illo tempore* bywało!” powtarza. Ani kobiety tak piękne, ani młódz tak zapalna, ani marzenia tak bujne, pobladły kwiaty nawet, błękity poszarzały, pieśń już tak duszą, nie potraça jak dawniej, ni tak rozgłośnie śmiech rozbrzmiewa, świeci tylko coraz piękniejszymi barwami obraz wspomnień.—cierpienia i smutki dawne toną w falach niepamięci, na jaw wypływają same nici złote, same tęczę i róże.

Dobroczynną jest ta wspomnień potęga! Bez niej więdnące serce, nie podsycane niczem, umarłoby dawno, bez niej czoło starca okrywałby smutek okrutny, to też prawdziwe są słowa poety, gdy mówił:

„Potęgę wspomnień! o, ileż to razy  
Gdy przedzy marzeń rwała się nić złota,  
Gdy duch, osłabły męczarnią żywota,  
Padał bezsilny a modlitw wyrazy  
W niemą się skargę zmieniały,—w dni owe,  
Gdy serce tylko krążeniem krwi biło,  
Nie uczuć mocą, nie młodości siłą,—  
Gdy na piers ciężką pochylałem głowę,  
Szukając ciszy, choćby pod mogiłą:  
Pieśnią przeszłości, snów uroczych wstęgą,  
Oczom łzy dając, duszy siły nowe,  
Tyś się zjawiała, o—wspomnień potęgo!  
I wpatrywałem się w owe obrazy  
Znane tak dobrze i po milion razy  
Odczute,—w pieśń się wsłuchiwałem ową  
Znaną tak dobrze a wieczyście nową!  
I ja za tobą, gwiazdo czarująca!  
Szedłem w świat blasku, błękitu i słońca—  
I wydobyte z grobowych rozwalin  
Bogi swe dawnem ożywiałem tchnieniem—  
I—idąc gwiazdo! za twoim promieniem  
Znów oddychałem wonią róż i malin!  
I tyś mię wiodła w uroczę krainy,  
Czarując ducha pieśnią tajemniczą—  
Girlandą kwiatów ubrane doliny  
Brzmiały dokoła muzyką słowiczą,  
Czerpałem rozkosz z świętych natchnień morza,  
Wpatrzony w ciebie złota gwiazdo Boża!”

Najlepszym orzeczeniem życia ludzkiego, będzie to, że jest ono szeregiem wspomnień.

Jak w szybko płynącym się strumieniu górskim fala za falą mija—tak płyną dni za dniami, za chwilami chwile, każde wypowiedziane słowo, czyn dokonany, myśl w głowie powstała już należą do niepowrotnej dziedziny przeszłości, ponad którą unosi się duch wspomnień, z wijącym się szybko wrzecionem, na które snuje najpiękniejsze pasma, najdrogocenniejsze nici, by nimi zapełniać próżnię duszy ludzkiej, gdy osamotnioną zaczyna się błakać po świecie.

Gdyby nie to wspomnienie, nie ta prządka czarodziejska, nie znalibyśmy dziejów świata, nie miałyby ciągłości życie własne, nieśmiertelności by nie było, w duszach naszych Boga by nie było. Kocham ojca, matkę, brata, siostrę,

przyjaciela, bo mnie wiąże z nimi długi szereg wspomnień; kocham swój kraj i zamieszkujących go ludzi milion, nieznanych zupełnie, niewidzianych nigdy—bo łączy mnie z nimi szereg wspomnień dziejowych, długa nie tradycyi, zbudowany od lat tysiąca ołtarz jeden, u którego stóp składaliśmy miłość naszą i wiarę naszą.

Bez wspomnień nie byłoby życia, bo ono z nich się składa. Przed nami nieprzenikniona zasłona przyszłości za nami grzmi i błyska morze olbrzymie, unoszą się mary ukochane, wizye złote, sny duszy, cudowne kwiaty uczuć, rozumów naszych prace, widma wyobraźni, arcydzieła myśli, szczęścia i nieszczęścia, cierpienia i radości, tryumfy i klęski.

Jeżeli się za grobem nie kończy życie nasze, trwać ono musiało przed kolebką. Filozoficzne to twierdzenie okultystyczne ma za sobą niezbitą logikę. Nieskończoność nie może mieć początku, nieśmiertelność nie wyłania się z nicości. Jeżeli *jestem* to mogłem nie być i mogę nie być; lecz jeżeli *będę* trwać w wieczności to w tej wieczności już *byłem*. Nie byłbym jednak bez wspomnień przeszłości, a gdzie są te wspomnienia przed kolebkążanego życia, spytacie?

Kto wie—czy fantazje snów naszych żadnego związku nie mają z tem życiem? czy nie są niewyraźnym wspomnieniem istnień dawniejszych? Chwilowa utrata pamięci spowodowana warunkami nowych urodzin, nie jest zaprzeczeniem twierdzeń powyższych. W życiu dzisiejszem, przy troskach i kłopotach codziennych, wieleż to wspomnień zaciera się w pamięci naszej; mimo to któż nam zaprzeczy rzeczywistości naszego życia w przeszłości, określonej latami ziemskimi? Zagadkowem jest rozbudzenie się nie raz wszystkich ale to wszystkich niemal wspomnień w chwili śmierci? A któż wie, czy śmierć nie jest rozbudzeniem się zupełnem, to jest powrotem pamięci o latach, wiekach i tysiącach wieków ubiegłych naszych istnień? Przecie obdarzeni nieśmiertelnością *musimy* mieć pamięć przeszłości z lat nieskończonych. Ta wiara czyni nam lekką śmierć; dzień Zmartwychwstania Chrystusa największym świętem jest świata! Dzielił się jajkiem święconem a tam, na dalekim wchodzie działa zagrzmiała i raz jeszcze półksiężyc zajął uwagę świata. Turcja jest już dziś anomalją wśród państw chrześcijańskich. Grecya wzburzona ekscesami muzulmańskimi, podjęła walkę nierówną, zadanie przenoszące jej siły.

Co dzisiaj, pojutrze, co lada chwila może zwiastują nam telegramy z pola walki? Przewidywana jest klęska potomków Leonidasów i Temistoklesów. Po pierwszym pogromie wojsk greckich, Europa, jako dobry makler, zabierze się do pogodzenia zwaśnionych. Turcja na lewo a Grecya na prawo się usunie, granice skrzywione nie zostaną, wszystko do starożytności porządku.

Dziwną jakąś czuję ochotę do napisania jakiejś piosneczki pod nagłówkiem: „Niema cię Jasiu...” ale zanim Muza powolną mi będzie, żal mi tymczasem serdeczny tych biednych Greków, którzy, może oprócz wielu wad, sporo też i zalet mają, zalet godnych naśladownictwa.

Pod tym względem bardzo jest ciekawy artykuł drukowany w kilku numerach „Kuryera Warszawskiego” p. t. *Milionerzy greccy*.

Powszechnie jest przekonanie, że Grecy dzisiejsi, to naród moralnie upadły, nie liczący się zbyt z uczciwością, pieniądź uważający za bożyszcze. Znani są z niesumienności w handlu Ormianie, lecz Grek Ormianiną nawet przewyższyć potrafi.

Musiałoby być pewne powody do wytworzenia się podobnej opinii, ale że zawsze medal ma stronę odwrotną, a dyabeł nie jest tak straszny jak go malują, coś też poczciwszego i o Grekach powiedzieć można, choć jedną czystsza linię w rysunku odnaleźć i nieco barwy śnieżystszej.

Według wspomnianych artykułów „Kuryera Warszawskiego” mówiących nie o całym narodzie greckim lecz tylko o pewnej warstwie, mającej w swym ręku kapitały—główną zaletą dzisiejszych potomków Hellenów, jest ogromna

miłość swej ziemi, bezbrzeżne przywiązanie do ojczyzny, o której nie zapominają nigdy, do której skierowane są wszystkie myśli Greka.

Powodzenie psuje, miliony w rękach jednostek, najczęściej są straconym dla ogółu społeczeństwa kapitałem. Za wyjątkiem arystokracji angielskiej, rozumiejącej zadanie swoje—magnateria prawie wszędzie mało dba o interesa swojego kraju, trwoniąc czas i pieniądze na rozrywki, na nieustanne wyjazdy zagranicę, gdzie częstokroć traci zdrowie i grosz nie własnym zarobionym trudem. U nas nawet, podobni panowie, ochrzczeni byli swojego czasu mianem „nieobecnych”—jeżeli oni coś dają na cel jaki, to jest nic nieznaczącym odsetkiem od odsetków, marną kroplą w morzu ich wielkich kapitałów. Zapewne, że niejedyn z nas wymienić potrafi parę nazwisk ludzi, rzucających grosz, nawet spory, na takie a takie cele użyteczności publicznej. Ale nieraz na niebie najczarniejszymi chmurami pokrytem parę gwiazd błysnie. O wyjątkach nie mówimy zatem; najmniej dla kraju swojego pracuje arystokracja, najwięcej wszędzie ją wyrządziła, nigdzie tak prywatnie nie wybujała, jak pomiędzy nią właśnie.

Jeżeli do obowiązków względem swej ziemi nie poczuwają się tak bardzo ludzie o nazwiskach historycznych, przy których jeszcze kołaczą się poważne resztki olbrzymich niegdys fortun—coż mówić o parweniuszach zubożonych zbiegiem szczęśliwych a może nieszczęśliwych okoliczności, o tych, którzy w mętnej wodzie, grubo grubych ryb nałowili? Ci stawiają wprawdzie Bogu świeczkę i dyabłu ożóg, ale Bogu się nie podobają, dyabeł kiedyś porozmawia z nimi, a tymczasem świat żadnego z nich pożytku nie ma. Tacy panowie, tak czy siak doszedłszy do fortuny, już się jej trzymają zębami, czując, że pieniądź tylko nadaje im wartość jaką. Nie od nich ofiar żądać, nie od nich wymagać poświęceń, które są cechą dusz tylko wyższych.

W artykułach wspomnianych widzimy ogromną ofiarną magnatów greckich. Grek obdarzony przebiegłością, sprytem, co na razie jest całym jego majątkiem, opuszcza chętnie słoneczną ojczyznę swoją, dając do Egiptu, Azji lub do portowych miast europejskich po zarobek.—Chodzi pół nago, głodem przymiera, nie pogardza żadną pracą, handluje wszystkim czem tylko handlować może, okpić bliźniego za wielki grzech sobie nie poczytuje, grosz do grosza dokłada, coraz szybciej i coraz szerzej działalność swoją rozwija, słucha, uczy się, bada, wciska się w łaski możnych, staje się potrzebnym, zdumiewa sprytem, a tym czasem cekiny leca i leca do kieszeni z wzrastającą wciąż tęsknotą do kraju rodzinnego, do szczytów Tajgetu, do laurowych gajów Eurotasu, do skalistych przepaści gór greckich.—I oto przemieniają lata młodości, włos kruczy posiwiał, ale w bankach leżą miliony owego niewolnika pracy; siła, moc, potęga, zakłete w kruszec złoty.

Teraz wolno mu wrócić do ojczyzny.

I wraca—najczęściej do rodzinnego miasta.

Po co?

Czy dla tego, ażeby otoczyć się gronem wesołych przyjaciół i pijąc wino cypryjskie używać rozkoszy w ostatnich dniach życia?

Tak i nie, bo przyjemne z pożytecznym łączy.

Milionerowi stać na wygodę—więc buduje sobie gmach wspaniały, podpira marmurowymi kolumnami, otacza się dziełami sztuki.—Lecz on chce po sobie pamiątkę zostawić, chce zapisać się w pamięci swych współziomków zgłoskami złotem.

Rodzinnę miasto! czego mu brak?

Brak muzeów, szkół, zakładów wyższych, teatrów, bibliotek, świątyń...

I oto jak pod zaklęciem różdżki czarodziejskiej wyrastają z ziemi gmachy wspaniałe, napełniają się sale ksiąg stosami, stają poważne mury świątyń, zielenieją ogrody publiczne, na placach białe posagi śmieją się ku słońcu piersią z greckich marmurów. Nieznane przed tem rody Zossimadesów, Kaplanów, Marussisów, Caduriettich, Bozarczów, dziś ze czcią wśród Greków są wspomniane; im to i podobnym do nich

zawdzięczają miasta greckie wzrost swój i piękność, młodź Helleńska zakłady naukowe, bank państwa stopy złota, gdy ciężkie, jak teraz na przykład, terminy nadejdą.

Greki tak swoją ojczyznę kocha, to państwo swoje, że niejednokrotnie bywały wypadki iż wzbogacony milioner nie wchodził w związki małżeńskie li tylko dla tego, by całą fortunę mógł rząd zabrać na własność państwa. W r. 1810 Chateaubriand, zwiedzając Ateny, znalazł setkę lepierek, stojących naokoło koszar janczarskich. Dziś Ateny zwać się mogą miastem pałaców, dzięki tylko ofiarności swych synów, niegdys tułaczów po światach obcych. Lecz nad wszelkie słowa wyraźniejsze są cyfry—podajemy ważniejsze:

W ciągu stosunkowo krótkiego bardzo czasu Ateny otrzymały od milionerów greckich zdumiewające wprost dary. Na otwarcie nowych katedr przy uniwersytecie: Bernadaki dał 100,000 drachm (drachma=2 złp.). Platagin 250,000, Papodakis 600,000. Muzeum narodowe otrzymało od Benardakisa 200,000, od pani Sturnara 75,000; szkoła politechniczna od rodziny Tokiszów 1,000,000 drachm, szkoła marynarska od dr. Varvakisa 1,500,000, kliniki lekarskie od Teodora Aretaiosia 1,000,000, szkoła teologiczna od Jerzego Rixarisa 1,000,000, szkoła sierot od Hádzikartosa 1,000,000, halle miejskie od Pangosa 2,000,000. Mikołaj Zariti ofiarował 250,000 na zegary publiczne, Zappas 2½ miliona na pałac wystawy greckich produktów przemysłowych, Szymon Sikos 2 miliony na „Akademię“ najwspanialszy budynek w Atenach. Jerzy Sinor zbudował obserwatorium astronomiczne; Ralliowie, których flota handlowa obsługuje Indyę, Anglię i Amerykę, zbudowali własnym kosztem pałac arcybiskupa i ofiarowali pół miliona drachm na teatr narodowy.

To tylko w Atenach,—a w tylu innych miastach? Prawie każde z nich wzniosło się ofiarnością obywateli—magnatów. A podczas obecnego z Turcyą zatargu, mobilizacya armii całej przeprowadzona została kosztem tych panów, tak, że rząd jednego nie wydał szeląga. I cóż tu mówić o podłości greckiej?—ta miłość ziemi rodzinnej okupuje wiele win i wad.

— Dla czego to piszesz, spytacie? — Zali to ma związek jaki z kroniką bieżącą naszego miasta?

Mniejsza—ma czy nie ma... Ale nad wszystkim tem głębiej zastanowić się można, bo zastanowić się warto!

Zbliża się termin, w którym zamknięty będzie konkurs dramatyczny jubileuszowy na sztukę oryginalną, polską.

Jak wiadomo konkurs ten był ogłoszony w r. z. d. 3 kwietnia; obecnie „Kuryer Warszawski“ podaje szczegółowo warunki, pomiędzy którymi są dwa, które, zdaniem naszym, nie należą do zbyt szczęśliwie pomysłanych.

Konkurs jest ogłoszony zarówno na dramaty, jak na komedye poważne i lekkie. Sztuki przyznane przez sąd konkursowy, przed otwarciem kopert, będą grane w teatrze pięć razy z rzędu. Sztuka ciesząca się największym powodzeniem kassowem—mieć będzie prawo do pierwszej nagrody, albowiem w warunkach konkursowych czytamy:

„Dla wszechstronnej oceny powodzenia każdej sztuki, dyrekcya teatrów będzie nadsyłać redakcyom pism miejscowych codziennych ściśle raporty o dochodach kassowych z 5-iu przedstawień każdej sztuki.“

Wydaje się więc nam jasnym, że dochody kassowe, t. j. kassowe powodzenie będzie probierzem wartości utworu.

Jeżeli, powtarzamy jeżeli, jeżeli tak—to smutny horoskop można postawić dramatowi lub tragedyi, które, kassowo, bardzo łatwo zwyciężyć może komedya lekka, wesoła albo dowcipna farsa, nie mająca najmniejszej głębi psychologicznej, bez doniosłej literackiej wartości, walcząca tylko śmiechem i dowcipami rozweselającemi tłum. W ciągu 5-ciu przedstawień, (jesteśmy z góry przekonani), że ani jednego miejsca w teatrze próżnego nie znajdziemy na przedstawieniu lekkiej komedyi lub farsy; dramat zaś zajmie tylko

umysły wybrane—dochód kassowy zatem, o jaką setkę rubli będzie mniejszy. Pytanie: Czy na tem niedobrze polegać ma wyższość danych utworów?

Nie!

Sąd w takim wypadku może być bardzo łatwo sądem omylnym. Ogłaszający zaś konkurs mieli na celu dzieło artystycznie (o ile to być może), skończone; wzbogacenie literatury ojezycznej, nie względ na kassę teatralną. Wprawdzie pod koniec czytamy:

„Po ukończeniu przedstawień w teatrze, utworzony przez redakcyę sąd konkursowy wyda wyrok ostateczny.“

Czyż bez kassowego dochodu sąd nie będzie umiał wydać wyroku o wartości sztuki?

I jeszcze:

„Z uwagi na beżimienność sztuk, których autorowie ujawnieni będą dopiero po rozstrzygnięciu konkursu, obsadzać role w sztukach będzie Dyrekcya teatrów.“

Wiadomem jest, że dobra sztuka źle obsadzona może nie mieć powodzenia; są zresztą sceny pisane przez autorów z myślą o takich, a takich aktorach. Autor, znający dobrze scenę i swoje dzieło, wie, że daną postać powinien taki to a taki artysta odegrać. Dyrekcya przy najlepszych chęciach, nie może dostatecznie wnikać w charakter przedstawionych osób. Charakter źle pojęty, przez nieodpowiedniego przedstawionego aktora—dużo złego może sztuce wyrządzić. Beżimienność zaś autorów żadnej tu roli nie gra. Dzienniki ogłaszają sztuki mające być wystawione, a autorzy pod wiadomemi już godłami, posyłają do dyrekcji teatrów propozycyę osób z krótkim objaśnieniem, jak dana postać traktowaną być powinna. Tym sposobem uczyniło by się zadość i autorom i warunkom konkursu.

Jesteśmy bardzo ciekawi rezultatu konkursu; może na jaw jaki nowy talent, jaka nowa rzecz piękna wypłynie. Prawdopodobnie sporo się znajdzie komedyi, dramatów znacznie mniej. W każdym razie niech panowie dramaturgowie nie rokują zwycięstw. Komedya wypełni kassę, dobry zaś dramat zostanie ozdobą literatury.—Ta tylko nadzieja może przyświecać dramatopisarzom, posyłającym dzieło swoje na konkursy, na których rywalizować muszą z dochodami kassy. Ciężki to orzech do zgryzienia—ale arcydzieło Słowackiego nie wypełnia kassy. „Flirt“ pana Michała Bałuckiego będzie zawsze dochody dawał. Mimo to „Mazepa“ ma zapewnione lata istnienia, „Flirt“ do potomności nie przejdzie.—Smutne to ale prawdziwe.—Wolelibyśmy konkursy, na których by zważano na wartość literacką i artystyczną, gdzie ona tylko rozstrzygałaby o doniosłości dzieła. Gust tłumów jest niestały, zresztą pożąda tylko rozrywki chwilowej, zabawy parogodzinnej, śmiechu i weselości, bez wnikięcia w uzasadnioną wartość dzieła. Tak będzie, bo inaczej być nie może.—„Panem et circenses!“ nie raz jeden o nasze uszy się obje.

??

## DO MOICH PIOSNEK.

Lećcie, płyncie, piosnki moje,  
Hen—w daleki świat,  
Jako pszczoł brzęczących roje  
Jako wonny kwiat.

A choć proste, nieuczzone,  
Ufnie lećcie tam,  
Boście sercem wy stworzone,  
Ludzie braćmi wam!

W słowach waszych wy niesiecie  
Duszy błysk i żal,  
Bujnych marzeń tęskne kwiecie  
W życia szerz i dal.

Lećcie, płyncie, osładzajcie,  
Ludziom ziemski trud,  
I o dobru im śpiewajcie  
Boży sławiąc cud.

W młodych uczuć pełnej sile  
Lećcie witać świat,  
Kto swej wiosny wspomni chwile  
To wam będzie rad.

A. G.

## NA ŁASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

(Dalszy ciąg).

Od tej chwili wielka w nim nastąpiła zmiana. Stał się milczący, zamysłony, nie zbliżał się do Janiny, tylko patrzył na nią z daleka, uważnie. Roman został uwolniony od zwierzeń młodzieńca, z czego dość był zadowolony, ale przypisywał to także wpływowi Natalii.

Pomimo, że unikał zwykle dłuższej z nią rozmowy, wypadało przecież od czasu do czasu podać się temu obowiązкови towarzyskiemu. To też, kiedy raz, podczas dłuższej wycieczki do lasu była mowa o Juliuszu i jego dziwnej obecnej zmianie, którą wszyscy zauważyli, Roman zwrócił się do Natalii i tonem żartobliwym:

— Pani taką zmianę zawdzięcza,—rzekł.

Natalia spuściła oczy a lekki rumieniec zwole na napływał na jej twarz.

— Nie czuję się godną takiego zaszczytu...—rzekła. — Ale dla czego pan do mnie się zwraca?—dodała,—przecież tutaj więcej jeszcze jest kobiet... czemu nie inna, tylko ja?

— Bo żadna nie jest taką mistrzynią w tresowaniu biednych zwierząt, noszących nazwę mężczyzn...

— Protestuję przeciw podobnemu określeniu naszego rodu! — zawołał książę, obecny tej rozmowie.—Obrażam się na ciebie, Romku i zostawiam cię z panią; niech go pani nauczy uszanowania dla starszych, którzy się w jego towarzystwie znajdują!

To mówiąc, książę ze śmiechem uklonił się Natalii i podążył naprzód.

Zostali więc sami, zdala od reszty towarzystwa. Przechadzka po lesie, cudna pogoda kończącego się dnia letniego, obecność Romana, ta rzadka a tak pożądana, uspasabiały Natalię rozrzucającą, sentymentalnie.

Szli obok siebie chwilę w milczeniu. On obojętny, a ona pragnąca rozmowy z nim, choć obojętnej... ale on milczał.

— Więc pan znajduje, że jestem mistrzynią,—rzekła półgłosem, jakby do siebie.

— Podejmuję pani kwestyę, w obronie Brunona!—rzekł swobodnie.

— Nie...—odparła poważnie, — widzi pan, że powtórzyłam tylko pierwszą część zdania pana. Pragnę wiedzieć co pan rozumie pod tem wyrażeniem?

— Najwyższe uznanie...

— Albo wyrok ostateczny! — przerwała żywiej, podnosząc oczy i patrząc śmiało na niego. — Uważa mnie pan za skończoną kokietką?—dodała, nie spuszczać oczu.



Roman, nie wytrzeźwiony jeszcze z poprzedniego upojenia, czuł, że wściekłość go porywa... był na pół tylko przytomny.

Nagle, nie uważał jak dwie pary tańczące leciały wprost na niego: nastąpiło uderzenie, i Roman runął na ziemię z głuchym odgłosem...

Wypadek mógł być komiczny, gdyby kto inny jemu uległ, z przypadkowego potrącenia, lub z powodu własnej niezgrabności, nie usunął się w porę. Ale w stanie wzburzenia i nieprzytomności, w jakiej Roman był chwilowo, potrącenie mogło mieć fatalne skutki. Muzyka się urwała i z ust Janiny wyszedł okrzyk trwogi. Wszyscy się skupili koło Romana, który oszołomiony, ale niezemdlony, powstając z ziemi przy pomocy panów, ujrzał przed sobą śmiertelnie blade oblicze Janiny, która stała opodal, bez oddechu, z otwartymi ustami i zaciśniętymi na piersiach rękami.

— Nic... nic mi nie jest!... — uspakajał Roman obecnych, patrząc tylko na Janinę. — Śmieszny wypadek!... — dodał, przesuując rękę po bledym czole, — szczęście, że tylko ja kozła wywróciłem, a nie kto inny z mojej przyczyny...

Wszyscy zaczęli mówić głośno, dysputować, wypytywać Romana, radzić, jedni, żeby się pośpedził położyć, drudzy, żeby się napił wina, obłożył głowę lodem i t. p.

Księżę zbliżył się w tym zamieszaniu do Janiny i z ojcowską pieczołowitością ujął ją za rękę: obawiał się, że zwróci na siebie uwagę...

— Przestraszyła się biedna pani... — rzekł. — Nic się nie stało... niech pani się uspokoi. Spojrzała na niego z wdzięcznością — lzy zakreśliły jej się w oczach — uciekła...

Noc była cudowna, ciepła, księżycowa, cisza w powietrzu, której żaden odgłos nie mącił, Janina jak stała wybiegła do ogrodu.

Przestrach jakiego przed chwilą doznała wzbudził drżenie, a raczej siłą woli przygłuszone uczucia. Twarz jej pałała a usta suche paliła gorączka. Błogie a bolesne uczucie, pierś jej rozrywało... coś niepojętego działo się z nią... Przebiegła spory kawał ogrodu i raptem sił jej zabrakło; upadła na kolana, zakryła twarz dłońmi i wybuchnęła płaczem...

Nagle uczuła, że ktoś obejmuje ją pieścizotliwie, podnosi i tuli w objęciu...

— Ukochana... mam cię... mam nareszcie!... — szeptał cichy, hamowany ale pełen namiętności głos Romana.

W pierwszej chwili pełna myśli o nim, nie zdziwiła się Janina, może sądząc, że marzy... ale przychodząc nieco do przytomności, gdy podniosła ciężką głowę i z za łez ujrzała bardzo bladą twarz jego nad sobą, głuchy okrzyk wydobył się z jej piersi i ruchem instynktowym, mimowolnym podniosła obie ręce i rzuciła się ku niemu, jakby chcąc go bronić, osłonić...

— Najdroższa... — szeptał głosem cichym jak technienie, — nareszcie kochasz mię trochę... trochę...

Trzymał ją w objęciu bezsilną jak dziecię poruszoną wypadkami tego wieczora i z tej przyczyny nie zdającą sobie dokładnie sprawy z tego co się z nią działo... Z przerażenia, z bólu wielkiego jaki wstrząsnął jej sercem gdy go ujrzała w niebezpieczeństwie, Janina przeszła nagle w rozkoszny, ale także nie bez cierpień stan świadomości prawdziwych swoich uczuć... i rzecz dziwna, świadomość tę przyjęła jak rzecz, której dawno się spodziewała, która jej należną była; odnalazła skarb długo ukryty, bez którego życia nie rozumiała. Płakała z rozrzewnienia, ze szczęścia, że ten skarb drogi posiada i gdy nagle stanął przed nią w postaci Romana, ona w rodzaju halucynacji marzyła, że to myśl jej tylko kształty przybrała i nie dziwiła się, nie cofała i nie broniła...

— Skarb mój najdroższy... — szeptała przy-  
mykając oczy, opierając z ufnością głowę na jego męskiej piersi.

Dla tych dwojga świat cały przestał istnieć w tej chwili, bo i na Romana przyszedł moment zupełnego zapomnienia. Gdy ujrzał Janinę bladą, przerażoną jego upadkiem, o mało nie omdlał z radości... gdy odeszła, uciekła raczej, po zamienieniu kilku słów z księciem, głosem niena-

turalnie drżącym, ślaniając się całym, — co zostało wzięte za skutek upadku — oznajmił, że posłucha dobrej rady i odejdzie do siebie. Odrzucił pomoc ciotki i Kamilli, które proponowały środki chłodzące, prosił tylko, żeby go pozostawiono w spokoju... Poszedł rzeczywiście do swego pokoju, a zamtąd, parapetowemi drzwiami do ogrodu, przeczuwając, że spotka Janinę, nie myśląc jakie to będzie spotkanie, ani co jej powie. Miał tylko jedno, jedyne pragnienie — widzieć ją! I oto zobaczył, zlaną, płaczącą, a teraz tulił ją ku sobie, ją, która go kochała...

Księżyc oświecał w całej pełni wdzięczną jej twarzyczkę, z której znikły ślady gorączkowego rumieńca, tylko miejscami błyszcząły, nie obeschnięte lzy zapomniane. Pochylona głowa i przymknięte oczy nadawały jej wyraz spokoju, wypoczynku, głębokiej ufności...

Roman nachylił głowę i upojony szczęściem bez granic, szeptał cicho, namiętnie, z ust wychodziły mu wyrazy bez związku, słowa pojedyncze, urywane, słowami miłości ogromnej, nazwy pieścizotliwe... upajał się sam swojemi słowami, tem co czuł, na co patrzył... Nareszcie nie mógł się pohamować... pochylił głowę niżej jeszcze, i usta gorące złożył na białem jej czole...

Janina się ocknęła, obudziła się jak ze snu. Usunęła się, przetrąła oczy dłonią, westchnęła głęboko i przytomniej spojrzała w oko. Nagle, ujrawszy płonący wzrok jego na sobie, ukryła twarz w dłonie... marzenie prysnęło, wracało do rzeczywistości i wszystko jej się przypominało: dojście do świadomości uczuć, pojawienie się Romana, jego słowa pieścizoty i... i ten pocałunek...

Fala rumieńca uderzyła jej w twarz; zakryła oczy zawstydzona.

— Co ja zrobiłam... — szeptała, — co pan ma za wyobrażenie...

Natura jej, wyjątkowo niewinna, nieskalana, i stanowisko sieroty „na łasce“ w obcym domu, podyktowało jej te słowa.

Roman odjął delikatnie rączki od twarzy i usuwając się przed nią na jedno kolano drżące te rączki obsypywał pocałunkami.

— Oto moja odpowiedź, — szeptał.

Podniosła go z lekka pociągając; w oczach jej była niema a wymowna prośba, której posłuchać musiał.

— Z przestrachu przytomność straciłam... — tłumaczyła się znowu jakby nie chcąc się przyznać, że nie wie co zaszło między nimi. — Ach! — zawołała nagle, — głowa pana boli...

Zaniepokojona bardzo, niezadowolona z siebie, że na chwilę mogła zapomnieć o tem co jej boli, patrzyła wielkimi oczami na Romana, cała przejęta myślą, że może jemu co grozi.

— Boli?... — powtarzała, — bardzo boli?... Och! jakże ja się boję! gdzie pan się uderzył?...

— Pani mnie uderzyła w samo serce... — rzekł z uśmiechem szczęścia, — w głowie mi się kręci — także z powodu pani...

Żał mu było, że minęła chwila upojenia; żał, że tak krótko trwała rozkosz, której tak dawno pragnął, tęsknił do niej... bezsilna, ufna i kochająca... tuliła się do niego. A teraz, broni się, niedobra!

Znał jednak dobrze tę naturę mimozy i wiedział, że za śmiałe postępowanie zrazić ją może, więc stosował się do jej woli.

Nie podniosła słów jego ostatnich, ale prosiła, żeby poszedł do siebie i położył się do łóżka... prosiła, składając ręce a wzrok wymowny tarzyszył jej prośbie.

— Co by to było, żeby pan zachorował... — mówiła wstrząsając się całą.

— Czy pani myśli, że łatwo mi odejść? — rzekł ujmując w uścisku rękę, której mu nie broniła. Niecu mi pani coś powie na dobranoc... coś miłego... najdroższa moja...

Mówiąc, uszli już kawał drogi; dom widać już było z rzędem oświeconych gdzie niedzie okien.

— Będę prosić Boga o zdrowie... i szczęście dla pana... — szepnęła i wysuwając niespodzianie swoją rękę, odbiegła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

Okres czasu, przedzielający nas od ostatniego na tem miejscu sprawozdania, nie obfitował w zbyt wybitne wypadki muzyczne. Parę koncertów, jedna nowa opera i jeden nowy balet, oto wszystko, cośmy nowego usłyszeli. Jeżeli dodamy do tego, że przedostatni koncert Towarzystwa muzycznego nie odznaczał się zbyt wielkiem urozmaicheniem programu, że nowa opera Moniuszki, wystawiona na scenie amatorskiej, należy do rzędu tych kompozycji, których się słucha jedynie przez pamięć dla autora, że wreszcie nowy balet, aczkolwiek bardzo miłutki, jest jednak równocześnie i bardzo miniaturowym, to przynajmniej musimy, że koniec bieżącego sezonu przyniósł znanej z zamiłowania artystycznego publiczności warszawskiej niezbyt wielką sumę wrażeń muzycznych.

Soliści, którzy wzięli udział w koncercie Towarzystwa muzycznego znani są już melomanom naszym z dawniejszych swych występów. Byli niemi p. Auber, rodak nasz, wiolonczelista wiedeński i p. Kastner, b. harfista opery warszawskiej, a obecnie członek orkiestry nadwornej opery wiedeńskiej. Już samo połączenie na jednym koncercie instrumentów takich, jak wiolonczela i harfa, złożyć się musiało na niezbyt udatną całość. Wiolonczelista bez akompaniamentu orkiestry posiadać musi wybitny talent wirtuozowski, a żeby mógł grą swoją wzbudzić większe zaciekawienie u słuchaczy. Instrument ten kwalifikuje się raczej tylko jako drobny dodatek do koncertu. P. Auber jest artystą sumiennym, posiadającym poprawną, aczkolwiek daleką jeszcze do doskonałości technikę. Wykonaniem „Ciszy leśnej“ Dworzaka i „Kołysanki“ Webera wykazał artystę, że rozporządza wielkim zasobem szlachetnego liryzmu, nie więc dziwnego, że utwory te przemówiły do serca słuchaczy i przyniosły wykonawcy zasłużone oklaski.

To, cośmy powiedzieli o wiolonczeli, jako instrumencie solowym, zastosować się da w wyższym jeszcze stopniu do harfy. Harfa należy z natury swej do rzędu instrumentów, które nie są w stanie pozostawić trwałych po sobie wrażeń. Skazana do wywoływania pewnych efektów instrumentacyjnych w orkiestrze, bardzo pożądana jako akompaniament do śpiewu, jako instrument solowy wywiera harfa wrażenie monotoni. Trzeba też posiadać prócz błyskotliwej techniki sporą dozę talentu wirtuozowskiego, któryby wszystkie te ujemne strony instrumentu zrównoważył i grę na harfie nietylko znośną, ale nawet sympatyczną dla ucha uczynił. Talent taki poznaliśmy w p. Kastnerze. Pod palcami jego dźwięki harfy mieniają się różnorodnym pod względem barwy i natężenia kolorytem; instrument brzmi pięknie i szlachetnie. Doborem programu wykazał p. Kastner, że prócz talentu wirtuozowskiego posiada wiele poczucia artystycznego.

W części wokalne zastąpiła niedysponowaną w ostatniej chwili p. Prylińską, panna Kozieradzka.

Nowa opera komiczna Moniuszki w jednym akcie, a w dwóch odsłonach, którą mieliśmy sposobności poznać na przedstawieniu amatorskiem w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa, nosi tytuł „Betty“.

Mówimy: opera Moniuszki, choć z równym prawem przyznaćby można autorstwo jej p. Gabryelowi Różnieckiemu,  $\frac{3}{4}$  melodyi bowiem nie jest wcale własnością Moniuszki.

Rzecz się tak przedstawia.

Operę tę napisał Moniuszko w r. 1852 do słów Scribe'go dla teatru amatorskiego w Wilnie. Opera ta przedstawiona była raz tylko. Sam Moniuszko tak się o kompozycyji tej w jednym z listów do swych wielbicieli wyraża:

„Pytasz się, co to jest Bettly? Odpowiadam ci: Bettly jest to książeczka z 213 stronic złożona, a napisana w przeciągu dwóch tygodni świąt Wielkanocnych. Składa się z 11 numerów, co stanowi kompletną operę komiczną w 1 akcie.“

Oryginalna partycya opery tej znajduje się w ręku p. Polińskiego, któremu również szczerze tu przytoczone zawdzięczamy. Partycya ta jest jednak niestety bardzo niekompletną. Brak w niej melodyi partyi solowych i chórów. Moniuszko bowiem, czy to że nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do tej kompozycyi, czy też z braku czasu w danej chwili, zapomniał wpisać partyi solowych do partytury orkiestrowej, a uczynił to tylko w wyciągach fortepianowych, których niestety nie posiadamy. Gdy więc przed kilku laty p. Różniecki powziął myśl przedstawienia opery tej w teatrzyku Dobroczyńności, musiał brakującą melodeję, a nawet pojedyncze ustępy w całości dorobić. Przy tego rodzaju „zeszywaniu“ nie zawsze dał się, rzecz prosta, zachować szczęśliwie jednolity charakter kompozycyi. Najładniejszą częścią opery jest chór pierwszy; posiada on własnoręcznie przez autora zanotowaną i prześlicznie opracowaną melodeję.

Z tego to powodu „Bettly“ nie zbyt wielkie wzbudza zaciekawienie; w każdym jednak razie należy się wdzięczność p. Polińskiemu za dokładne zebranie szczegółów dotyczących nieznaney kompozycyi genialnego pieśniarza.

Treść opery jest następująca:

Młody głupkawy tyrolczyk, Daniel, zapalał namiętną miłością ku pięknej Bettly, która jednak uczucia tego nie odplaca wzajemnością. Zrozpaczony kochanek zapisuje cały swój majątek ubóstwianej i postanawia szukać zapomnienia w służbie wojskowej, ku czemu nadarza się doskonała sposobność, w czasie tym bowiem przechodzi przez wioskę oddział żołnierzy austriackich i staje załogą w domu Bettly. Daniel zwierza się z swego zamiaru sierżantowi, który, jak się okazuje, jest rodzonym bratem pięknej Bettly i wruszony miłością Daniela przyrzeka mu swą pomoc. Niepoznany przez siostrę Maks, takie jest imię sierżanta, udaje pijanego i przypuszcza szturm do serca Bettly. Przestraszona Bettly oddaje się pod opiekę Daniela i zeznaje, że jest jego narzeczoną. Natrętny Maks zmusza Bettly do podpisania kontraktu ślubnego, poczem dopiero zdradza swoje *incognito* i wszystko kończy się ku ogólnej radości interesowanych.

Wykonanie nieznaney kompozycyi operowej Moniuszki zadowolić mogło pod każdym względem słuchaczy. Orkiestra złożona w części z amatorów pod batutą p. Millera wywiązała się z zadania swego bardzo dobrze. Chóry brzmiały doskonale i ruszały się dobrze na scenie. Partye solowe spoczywały w rękach panny Matużyńskiej i p.p. Dudzińskiego i Wysockiego, którzy nie szczędzili starań, ażeby mniej udatną kompozycyę mistrza pieśni uczynić bardziej interesującą.

Jeżeli mowa o nowych kompozycjach, to zaznaczyć wypada, że Władysław Zelenki na jubileuszową uroczystość ś-go Wojciecha ułożył pieśń „Boga Rodzica“ na chór mieszany z towarzyszeniem organów.

W kompozycyi tej wykonanej po raz pierwszy w kościele Panny Maryi w Krakowie 23-go kwietnia, t. j. 900 letnią rocznicę męczeńskiej śmierci ś-go Wojciecha, starał się autor utrzymać ściśle wersyi katedry gnieźnieńskiej i zachować, o ile możliwości, harmonię w dawnym charakterze.

Pieśń „Boga Rodzica“ należy do najdawniejszych zabytków mowy, literatury i muzyki polskiej. Domniemanym autorem jej jest św. Wojciech, apostoł słowiański. Pieśń ta spiewana była przez długie wieki przez rycerstwo polskie przed rozpoczęciem bitwy, nie więc dziwnego, że melodeja jej ma bardzo wiele wariantów. Najpra-

wdziwszą z nich jest melodeja wyryta na sarkofogu św. Wojciecha w katedrze gnieźnieńskiej, tej też użył Zelenki jako tematu do swej kompozycyi.

W operze zakończyły się występy p. Fignera, a rozpoczął się szereg występów pań Pacini i Olginy Józefowicz i p. Picalugi. W bieżącym tygodniu zajęła melomanów muzycznych nowa premiera operowa. Jest nią czteroaktowa opera Rubinsteina na tle Lermontowa p. t. „Demon“ z udziałem pań Olginy Józefowicz i Monti-Baldini i p. Battistini'ego.

Przedostatni srodowy wieczór, Towarzystwa muzycznego, należał do najmniej udatnych w ciągu b. sezonu i zasługiwał raczej na nazwę koncertu amatorskiego, aniżeli wieczoru „większego.“ W wykonaniu programu niezbyt zajmującego wzięły udział miejscowe, przeważnie bardzo mierne siły artystyczne.

Na muzykalną część programu złożyły się trzy kompozycje z działu muzyki kameralnej, i te prawdopodobnie nadały wieczorowi pozor nadzwyczajności. Czy jednak pomysł wprowadzenia utworów kameralnych na wieczory Towarzystwa muzycznego był trafny, stwierdziła najlepiej ostatnia próba. Publiczność nasza niezbyt chętnie słucha, jak dowodzą koncerty muzyki kameralnej, utworów takich, wykonanych nawet przez pierwszorzędną siły artystyczne, a cóż dopiero mówić, gdy wykonawcami są artyści wprawdzie sumienni, którym brak jednak przygotowania do podjęcia tak trudnego zadania.

W wykonaniu kwintetu i sonaty F-dur Beethovena i septetu Hummela wzięły udział p.p. Hertz, B. Szulc, Singer, M. Szulc, Lewkow, Gold, Borodkin i Lewit, ostatni pięciu—członkowie rozbitej obecnie orkiestry symfonicznej.

W części wokalne programu usłyszeliśmy pannę Remer, która pięknym i dość już wyrobionym sopranem odśpiewała kilka pieśni; śpiewał też artysta opery warszawskiej p. Kawalski.

Nad orkiestrą symfoniczną, której z powodu zerwania kontraktu z p. Mayderem przez Towarzystwo łyżwiarskie, przyświecać zdawała się przyszłość, zawisły znowu czarne chmury. Bo oto p. Mayder, który snać znalazł w mieście naszym drugą ojezyznę, w liście nadesłanym do redakcyi „Kuryera warszawskiego“ oświadcza stanowczo, że prusakiem nie jest, nigdy nim nie był i być nim nie chce, że jest rodem z Monachium, a poddanym wirtemberskim i że w składzie orkiestry jego znajduje się 16 zaledwie prusaków.

Towarzystwo łyżwiarskie rozczulone tem wyznaniem wiary p. Maydera, postanowiło namyślić się jeszcze czy kontrakt z nim zerwać. Dolina szwajcarska rozbrzmiewać więc będzie prawdopodobnie „najlepszymi utworami,“ bo takie tylko obiecuje grać p. Mayder, a orkiestra warszawska... orkiestra warszawska będzie dalej Beniaminkiem Warszawy i czekać będzie, aż się na niej sprawdzi przysłowie: „Wśród tysiąca przyjaciół psy zająca zjadły.“

Sympatyj tej jednak względem orkiestry p. Maydera nie boją się snać jednak p.p. Heller i Bandrowski, dyrektorowie teatru lwowskiego, skoro zjeżdżają na lato do Warszawy, aby tu w przebudowanym i do potrzeb akustyki zastosowanym cyrku na Ordynackim dać szereg przedstawień operetkowych. Usłyszymy więc po raz pierwszy w Warszawie dzwicznych słowików „z nad Pełtwi.“ Prócz operetek usłyszymy również kilka nowości operowych, wykonanych siłami swojskimi, jak „Goplane“ Zelenkiego, „Liwie Quintille“ Noskowskiego, „Powrót taty“ Jareckiego i „Jasia i Małgosię“ Humperdincka. Nie brak nam więc będzie wrażeń muzycznych wśród lata.

Adam Dobrowolski.

JULIUSZ ZEYER.

## VERTUMNUS I POMONA.

(Dalszy ciąg.)

Pomona siadła tedy znowu, i milczeliśmy przez chwilę. Czulem, że po tem, com rzekł, pozostało mi tylko dodać:—Teraz, gdy odpoczęłam, udam się znowu w drogę. Wskaż mi kierunek do tego czy innego miasta. — Ale nie chciało mi się jeszcze odejść, starałem się przedłużyć swe odwiedziny.

— Czem ci odplacę, za twoją gościnność? — rzekłem po krótkim wahaniu. — Nie mam na mniejszego daru.

Pomona zrobiła poruszenie, jak gdyby broniła się od czegoś podobnego, ja wszakże ciągnąłem dalej:

— Coś jednak mogę ci ofiarować. Dawny to zwyczaj opowiadać przy ogniu baśnie i powieści, a my starzy ludzie mamy ich zawsze zasób wielki. Nazbieraliśmy ich na drogach żywota, a niejedna z nich, jak muszla, kryje w skorupie swej perłę. A jeśli nawet nie ma baśń jądra cenego, skracaj przynajmniej chwilę i pozostaw po sobie w pamięci coś jako technienie, które w zamkniętej komnacie po róży zostaje, gdy zwiędnie nieboga.

— Opowiadaj tedy,—rzekła Pomona ze słodkim uśmiechem i wsparła łokieć na gzemie ogniska, a głowę na rękę, jak dziecię, które do słuchania się gotuje.

Oparłem się, siedząc przed ogniskiem, na długim swym koszturze, jak Sybilla siedząca na złomie skalnym i głosząca wieści, które jej szepnął dąb omszony, szumiący nad jej głową, i zacząłem opowiadać czarownej Pomonie, przed migotliwym ogniem, napelniającym lekkimi, modrawymi, nie bez woni dymami przytulną tę izbę, taką prastarą opowieść:

Był raz w krainach łatyńskich król młody, mocny a piękny, a zwał się Dzieciół, jako ptak, którego teraz każdy zna, ale którego wówczas jeszcze nie było. Król Dzieciół był wielkim bohaterem, i snadno by mu było zdobyć wszystkie miasta i kraje od morza do morza, ale zadowalał się tem, co odziedziczył po ojcach, i za zwycięstwami się nie ubiegał. — Pięknie jest zwyciężać, — mawiał, — tylko gdyby przy tem nie było zwyciężonych. Smutek tych, co porażeni zostali, kazi radość tych, co zwyciężyli. Znam tylko jeden bój, w którym miło jest uledeć; jest to ten wieczny bój, który zwie się miłością. Tam zwycięstwo i porażka nietylko równie są piękne — lecz utożsamione. Tak przynajmniej łomaczę sobie miłość — naprawdę wszakże nigdy jej nie poznałem.

Tak mawiał król Dzieciół i zamyslał się nad swemi słowy. A jak łatwo byłby zaznał nawet tego zwycięstwa, gdyby się tylko był wdał w bój wymieniony! Bo serca wszystkich dziew śmiertelnych, wszystkich bogiń, były szybciej zaiste, ilekroć ukazał się gdzie król, taki był piękny i męzny, tak jaśniał tklivością serca i duszy czystością. Jechał przez las? wnet chwiała się tęsknie młode sosny; jechał koło rzek? wznosiły wodne panny z modrych fal czarowne swe głowy i posyłały za nim wilgotne spojrzenia. Przejedźdzał przez miasta? odkładały wrzeciona córy królewskie i wiały za nim z wysokości kamiennych wież długimi zawojami. Śród pól rzucały mu proste, uśmiechnione dziewczęta najpiękniejsze kwiaty pod nogi. Ale król nie miał dla żadnej jednego spojrzenia, acz każdą łaskawie pozdrowił. Łowy były jedyną jego namiętnością, jedyną jego radością. Gdy gwiazdy blade, udawał się już do lasu ze sforą swoją, otoczony druhami, a powracał niekiedy dopiero pod wieczór, gdy też same gwiazdy pociemniałe niebo złościście kropkowały, a wielki miesiąc, we mgłach cały czerwoną, po nad wzgórzami się

ukazywał. Ale spokój i mir w łonie młodego króla nie miał trwać zawsze. Dnia jednego, zbłądziwszy w lesie, znalazł się w szerokiej dolinie; stoki naokół, łagodnie w górę się wznoszące, porośnięte były ciemnym lasem świerkowym, którego skraje wszakże wesoło w słońcu się śmiały, bo całe były młodemi ubrzożone jaworami, których wiosenne listowate drżało na wietrze i żółtawo połyskiwało. Sklep niebios był czysty, ciemny, ale na skłonie, kędy blade, zielonawe przemagały odcienie, kupiły się nad lasem wielkie pasma chmur, podobnych sinawym wyniosłościom ze śnieżnymi szczytami, podczas gdy wysoko w górze, przez ciemny błękit, lekkie lśniące białe ciągnęły obłoczki, podobne długiemu orszakowi bogów i bogiń, kroczących z niewymownie wdzięcznymi ruchy swych prawie przezroczystych ciał. Król zatrzymał się, wdychając czyste leśne powietrze, przesycone światłem, i przysłuchując się jasnemu śpiewowi niezliczonych skowronków, który zdawał się jakby słyszalną jutrzenką. Każdy dźwięk był promieniem. Naraz wszakże drgnął król ze zdumienia. Ze śpiewem tych ptaków zlewał się śpiew ludzki, słodszy, dźwięczniejszy, czarowniejszy, czystszy, niż wszystkie pienia ptaków, wietrzyków i tryskających wód. Czegoś takiego nie było dotąd słyszało żadne ucho ludzkie. Płynęła gędzba ta z lasu—i król Dzieciół puścił się za śpiewem, porwany nieodpartym jego czarem. Przeszedł po niedługim błędzeniu do gęstych zarośli, nad którymi wystrzelały potężne dęby, a gdy nisko zwisające ich gałęzie rozgarnęły, ujrzał dziewczę tak czarownie, przedziwnie piękne, jak był jej śpiew. Z niczem innym krasa jej porównać się nie dała. Siedziała na głazie omszonym, pod szeroką drzewa koroną, a za nią siniał las jak jaskinia głęboka. Białość jej szaty i ciała była tem świetniejsza, tem śnieżniejsza, im mroczniej za nią błękitniały lasu cienie. Włosy, które spletała i przepletała kwieciami, spływały jej jak ciemne wody z wierchołka głowy na ramiona, spadały ztąd na łono, całowały jej nogi, które, białe, liliami się zdały w srebrnym strumyku, z pod głazu powabnie wytryskającym i równie przeciągle, słodko i cicho szepejącym, jak śpiew, który z ust cudnej dziewy w kaskadach wypływał. Pod czarem jej głosu milkły ptaki i kołysały się niemo na gałęziach ponad jej głową, kwiaty otwierały jak ze snu oczy, drzewa przychyłyły niżej swe wierchołki, nawet potok ściszył swe szumy, białe obłoki zatrzymywały się nad lasem, a wiatry zwieszały skrzydła i nasłuchiwały. Król nie wiedział, co się z nim dzieje. Serce to biło mu gwałtownie, to prawie zamierało. Te mu brakło. Ręka jego puściła oszczep, a ciężkie westchnienie wzniosło mu piersi. Dziewczę spojrzęło w kierunku, a gdzie stał, i król, widząc teraz jej oczy, miał wrażenie, że patrzy w dwie ciemne groty napełnione najjaśniejszymi gwiazdami. Upajające te źrenice rozszerzyły się, patrząc na niego, i zdawało się, że kaskadami dżdża z nich promienie słoneczne. Śpiewne usta umilkły nagle, ale rozjaśniły się za to uśmiechem najśladziej radości, a białe ręce, pełne kwieciami, wyciągnęły się doń. Jak król, tak i ono dziewczę zapłonęło na pierwsze spojrzenie niezmierną, bezdenną, wieczną, nieodpartą miłością. Bez słów powiedzieli sobie wszystko, to najwyższe, co można powiedzieć, to jedyne, co wysłowienia warty, a czego nawet nie trzeba wysławiać, powiedzieli sobie wszystko, bo rzekli sobie, jak się nawzajem miłują. I powiódł król jeszcze tegoż dnia Śpiewannę, córkę samego boga Janusa i wodnej panny Venilii, z modrego lasu do swego domu, do swego płonącego ogniska.

(Dokończenie nastąpi).

## Z bieżącej chwili.

— „Praw. Wiest.“ ogłasza Najwyższy Ukaz znoszący pobieranie podatku procentowego na rzecz skarbu z majątków polskich w guberniach zachodnich.

— Z okazji jubileuszu Mickiewicza przygotowują księgarze warszawscy znaczną liczbę nowych wydań dzieł poety, między którymi będzie szereg broszur dziesięciokopiejkowych w celu jaknajszerszego rozpowszechniania utworów drobniejszych. Jeden z wydawców puszcza w świat kalendarz kartkowy z sentencyjami, wyjętymi z dzieł Mickiewicza, inny wreszcie wydać ma zbiór utworów poetycznych poświęconych pamięci poety.

— Ludność Warszawy bez wojska według dokonanego w Lutym b. r. jednodniowego spisu ogólnego wynosi 601,972 mieszkańców, w tej liczbie stałych 593,052 i 8,920 przejezdnych. Najbardziej zamieszkały jest cyrkuł III—59,766 mieszkańców; najmniej mieszkańców—40,844 liczy cyrkuł II-gi.

— Zegar na wieży ratuszowej zamieniony ma być wkrótce na inny, na co magistrat przeznaczył 2.000 rs. Dla zapewnienia regularnego chodu zegara, będzie on miał mechanizm poruszany elektrycznością.

— W poniedziałek 26-go b. m. o godz. 5 m. 40 r. przejechał przez Warszawę w drodze do Petersburga cesarz austriacki, Franciszek Józef I. Pociąg dworski zatrzymał się na pięknie przystrojonej stacji Praga Nadwiślańska, gdzie cesarz spożył śniadanie, udając się po godzinie w dalszą podróż koleją Warszawsko-Petersburską.

— W tych dniach otwartą została wystawa robót uczennic zakładu naukowo-rękodzielniczego hr. Plater-Zyberkówny, oraz wyrobów zakładu przemysłowo-gospodarczego w Chyliczkach pod Warszawą.

— W 6-cio klasowym zakładzie naukowym żeńskim p. Anny Jastrzębskiej w Rydze następujące uczennice otrzymały dyplomy nauczycielskie w roku szkolnym 1896/7: Zofia Czenzówna, Zofia Kurczykówna, Janina Kuczyńska, Marya Piotrowska, Selma Brieling, Teresa Urbanowiczówna, Stanisława Wasiakówna, Kazimiera Wilczyńska, Helena Zdrojewska.

— Warszawskie Towarzystwo dobroczynności uzyskało zezwolenie władzy wyższej na otwarcie dwóch nowych oddziałów prac ręcznych przy ochronkach dla dzieci starszych nad 7 lat w dwóch dzielnicach miasta, zamieszkiwanych przez uboższą klasę ludności.

— Znany artysta-rzeźbiarz p. Cypryan Goddebski, mieszkający stale w Paryżu otrzymał od francuzkiego ministerjum oświaty i sztuk pięknych zaszczytne zamówienie wykonania wielkiego marmurowego biustu Berleta de Jony, b. kustosza muzeum Luwru; biust ten przeznaczony jest do galerii muzeum. Nowy to dowód uznania dla naszego artysty.

— Artysta-malarz Antoni Piotrowski, na podstawie umowy, zawartej z wydawnictwami angielskich i francuzkich czasopism ilustrowanych, wyjeżdża na plac boju armii grecko-tureckiej, z kąd nadsyłać będzie korespondencye z ilustracjami. Podobną misję pełnił już ten artysta podczas wojny serbsko-bułgarskiej. Artysta ogłosił bardzo zajmujące wspomnienia z tej wycieczki.

— Przed gmachem nowego teatru we Lwowie stanąć ma pomnik Stanisława Moniuszki. Powstał również projekt postawienia w ogrodzie miejskim pomnika dla Matejki.

— Królowa rumuńska, która wydała kilka drobnych utworów powieściowych pod pseudonimem Carmen Silvy zapragnęła laurów autorki dramatycznej. W Bukareszcie wystawiono niedawno trzy utwory koronowanej autorki, a mianowicie: „Mistrz Manole“, „Ultrauda“ i tragedję p. t. „Muriord.“

— W Monachium występuje od dwóch niespełna lat młoda śpiewaczka Jenny Conti, która wywołała wielkie zajęcie nie tylko w kręgach artystycznych, lecz i w sferach lekarskich. Prócz niezwyklej urody posiada artystka silny i dźwięczny głos o brzmieniu czysto tenorowym. Lekarze, którzy badali krtań fenomenalnej tej artystki, prócz nadzwyczaj silnie rozwiniętych strun głosowych nic nie prawidłowego nie znaleźli.

## MYŚLI.

Każda prawda nieśmiertelna rozwija się i rośnie.

Mickiewicz.

Same tylko fakta mają moc rozwiązywania wielkich zadań.

Tenże.

Polityka nie może obejść się bez jakiejś podstawy moralnej.

Tenże.

Prawda i miłość mogą mieć tę siłę, co gniew i nienawiść.

Tenże.

Na co wielkie statuty i prawa pisane  
Gdy nie będą zwyczajami ludzkimi wzmacniane.

Horacy.

Pomiędzy prawami a zwyczajami taka zachodzi różnica, że prawa kierują więcej postępkami obywatela, zwyczajaje zaś postępkami człowieka. Pomiędzy zwyczajami a manierami taka jest różnica, iż pierwsze dotyczą więcej postępowania wewnętrznego, drugie zaś zewnętrznego.

Montesquieu.

Każdy może osiągnąć prawdziwego szlachetstwa przez cnotę i dobroć.

William Penn.

Zgodą stoją królestwa, w zgodzie wszystko rośnie  
W niezgodzie zaś niszczeje i ginie żałośnie.

Salustyusz.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkuś 5-ty T. II, powieści p. t. *Taquisara* przez autorkę powieści *Książę Saracinesco* (Marion Crawford). Przekład z angielskiego.

**Treść:** Matka znakomitego człowieka (Teresa Riegrowa). — Pogawędka, przez ?? — Do moich piosenek, przez A. G. — Na łasę Powieść, przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny przez A. Dobrowolskiego. — Juliusz Zeyer. *Vertumnus i Pomona* (dalszy ciąg). — Z bieżącej chwili. — Myśli.

**Dodatek obejmuje:** *Taquisara*, powieść przez autorkę powieści *Książę Saracinesco* (F. Marion Crawford). Arkuś 5-ty T. II. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 20 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.